Tom XVII. Nr. 10.

1. października 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Legenda o najświętszej Marji Pannie i pobożnym kapłanie.

Dawno już bardzo żył pewien świątobliwy kapłan, który bardzo gorąco miłował najczystszą Panienkę, królowę nieba i ziemi i wszystkich serc pobożnych, i wszystkich krajów katolickich i naszej polskiej ziemi królowę. Służył on gorliwie Bogu i duszom ludzkim, a co mu się przytrafiło z tej miłości wielkiej dla Matki najświętszej, nie podpada żadnej wątpliwości, bo wielki Święty w kościele, Ś. Antonin sam to opowiada chrześcijanom ku wdzięcznej pociesze i większej dla Marji miłości. Bo kto kocha Marję, mili bracia, niebo będzie jego nagrodą..., bo kochając Marję, służy jej duszą i sercem i żywotem, więc Marja mu furtą do nieba. Kapłan ów zacny modlił się nieustannie do Marji aby mu dopomagała swojem u Boga wstawieniem, aby mógł codziennie lepiej Ją kochać i lepiej poznawać Jej doskonałość. Zaprawdę święta to była modlitwa, bo kochając coraz lepiej Marję, kocha się coraz lepiej Boga, a poznając ją coraz więcej, pragnie się coraz goręcej naślado-

wać Jej cnoty. Cnoty Marji każdemu człowiekowi potrzebne, bo były to cnoty ciche, domowe, do życia nieodzowne i do nieba wiodące. Któż był cierpliwszy, pokorniejszy, pracowitszy, łagodniejszy, posłuszniejszy jak Marja? Świętą więc była modlitwa kapłana, i każdy z nas gdyby się tak modlił, lepszym byłby i ochotniejszym do wszystkiego dobrego.

Takie modlitwy i ćwiczenia wzbudziły w pobożnym mężu gorącą chęć zobaczenia Najświętszej Panny. O słodka Matko! wzdychał często; o cudowna Matko! użycz mi choć na chwilę widzenia Twojej niezrównanej piękności, która niebo zachwyca.

Za śmiała była ta prośba u śmiertelnego człowieka, aby za życia widzieć Marję, kiedy dorabiać się trzeba cierpliwie i ciężko nieraz, aby doznać tego szczęścia po śmierci. Obaczymy jak wysłuchała Marja prośbę swego sługi.

Dnia jednego ukazał mu się Anioł i oznajmił mu wielkie szczęście, że zobaczy Najświętszą Marję Pannę, ale pod warunkiem, że oczy które ją raz ujrzą, nic więcej widzieć nie będą i ociemnieją.

— O! chętnie przystaję na to, zawołał w swojej gorliwości kapłan, chętnie całe życie zostanę ciemnym, abym tylko na chwilę mógł oglądać Marję!

Anioł mu oznaczył dzień tego widzenia, a on gotował się i oczekiwał go z największą tęsknotą. Wszakże słabość ludzka niedozwala często odebrać godnie tej łaski, o którąśmy wołali, i słabość ta ozwała się w dobrym kapłanie, jakby na powstydzenie go za zbyt śmiałe i gorące żądze. Smutek jakiś przejął go na myśl, że utraci wzrok na zawsze, i nocą ciemną otoczony będzie aż do śmierci; umyślił więc dogodzić i chęci swojej i żalowi swemu, i postanowił jednem tylko okiem patrzeć na Marję, a drugie zamknąć i tym sposobem ochronić choć jedno od ciemnoty. W oznaczonym dniu ukazała mu się Marja w takim przedziwnym blasku, i w takim majestacie nieopisanym, w takiej piękności i jasności niebieskiej, że oko którem na Nią patrzał, zgasło i siłę widzenia straciło. Widok

ten jednak napełnił go taką słodką pociechą, że zamiast żałować oka, boleśnie narzekał i obwiniał sam siebie, że nie patrzył na Nią i drugiem okiem.

— Dla czegoż, mówił on, ochroniłem jedno oko, aby patrzyć na szpetne rzeczy, które mi się już podobać nigdy nie mogą po widzeniu piękności Marji! O matko miłosierdza, przebacz mi niegodność moją, przebacz żem się sam pozbawił połowy łaski. Pozwól mi jeszcze raz widzieć Ciebie i stracić oboje oczu, a będę szczęśliwy!

Litościwa Marja Panna wysłuchała jeszcze tę prośbę i powtórnie mu się ukazała w całej wspaniałości i słodyczy, ałe zamiast odbierać kapłanowi drugie oko, które chciał Jej ofiarować, powróciła mu jeszcze światło tamtego, które utracił i dała mu zrozumieć, iż żąda aby obojgiem oczu służył Jej, obojgiem oczu wszędzie postrzegał doskonałości Boże, i zamiast ludziom być ciężarem, aby się poświęcił dla ich dobra, dla ich wsparcia, dla ich zbawienia.

Zrozumiał więc w pokorze pobożny kapłan, że oczy które widziały Marję, powinny się wznosić z miłością do nieba, i z pokorą wielką do ziemi, i na nic nieczystego nie patrzeć, i służyć Marji w czystości żywota, w pełnieniu cnót Marji, w usłudze bliźnim.

Tęsknił kapłan jeszcze więcej do Marji, ujrzawszy Ją, ale nie prosił o widzenie Jej w życiu, czego się nie czuł godnym, ani o śmierć rychlejszą, z czem się zdał na Boga, ale o większą gorliwość w cnocie i widzenie Marji na wieki.

Abyśmy i my oglądali wspaniałość Marji w niebie, której tylko promyczek ukazała swemu słudze, a już niebieskiego zakosztował szczęścia, naśladujmy Marją. Wydalmy z serca i żywota wszystko, co było nieczyste i módlmy się często z Dawidem królem: Serce czyste stwórz we mnie o Boże i ducha prawego odnów we wnętrznościach moich!

B. E.

*

Westchnienie ojca rodziny do Boga.

Boże! Tyś natchnął miłością świat cały,
Twoją wszechmocność stworzenia uznały;
Pomnażaj miłość Twą w każdej godzinie,
W mojej rodzinie!

Niechaj się modli w szczęściu lub niedoli,
Według Chrystusa przenajświętszej woli,
Krótką modlitwą, a nad wszystko świętą,
Przez nas pojętą!

Ojcze nasz któryś na wysokiem niebie!
Bądź z nami zawsze, bo też nic bez Ciebie.
Nic nie poradzim i nic nie poczniemy,
Jak sami chcemy!

Niechaj się zawsze Twoje imię święci!
I w sercach naszych i w naszej pamięci,
I niech to imię zawsze będąc z nami,
Świeci łaskami!

Niech Twe królestwo na ziemi osiędzie,
Niech nam Bóg ojcem, oraz panem będzie,
O to Cię Boże serdecznie błagamy,
Ile sił mamy!

Bądź wola Twoja w niebie i na ziemi,
Niechaj panuje nad nami wszystkiemi,
A my się zgadzać będziemy w potrzebie,
Z Ojcem na niebie!

Udziel nam Boże chleba powszedniego,
Tak jak potrzeba u nas dla każdego,
Niech łaska Twoja co nad nami świeci,
Nakarmi dzieci!

Odpuść nam Boże wszelkie nasze winy,
Czy bez przyczyny czyli też z przyczyny,
Jakieśmy przeciw tobie popełnili,
I obrazili!

Wszak i my naszym winnym odpuszczamy,
A od dziś żalu nic uie zostawiamy,
Więc też miej litość i przyjmij wołanie,
    Odpuść nam Panie!

Nie dozwól kusić siebie przez złość ducha,
Niech młodszy, starszych rad i nauk słucha,
Co starsi ludzie mają z doświadczenia,
    Dla ich zbawienia!

I zbaw nas Panie od wszystkiego złego,
Nam samym trudno uniknąć od niego,
Prostuj kiedy kto na złą drogę zbacza,
    Niech nie wykracza!

Amen! mój Boże, mój ojcze, mój Panie!
O co Cię prosim, to niechaj się stanie!
Bądź nam łaskawym i bądź nam pomocą,
    I dniem i nocą!

Niechaj te prośby przebiją niebiosa,
Twej opatrzności niechaj spadnie rosa;
Błogosław Boże wielki! mej rodzinie,
    W każdej godzinie!

Józef G.

O zgubionym Sobku z Niegłowic.

Piękna wioska Niegłowice rozłożyła się na ślicznej równinie w zachodniej stronie obok Jasła. Opasana rzeką Jasiółką i Ropą, jakby wstążką srebrzystą, a na góreczce lasek bukowy, nito ogród miluchny, w którym mieszkańcy Jasła podczas lata dla rozrywki przesiadują. Pod samym laskiem wznosi się schludny domek, który zamieszkuje dziedzic.

W tej wiosce przed laty, żył kmieć dosyć zamożny i poczciwy z dwoma synami. Młodszy pomagał ojcu w pracy, a starszy imieniem Sobuś, chodził w Jaśle do szkoły i nie źle się uczył. Ukończywszy w Jaśle szkoły, prosił ojca aby go

dalej do szkół posełał; lecz ojciec, czy rzeczywiście nie był w stanie, czyli też nie chciał, dość że mu odmówił pomocy. Otóż Sobuś widząc, iż od ojca nie może się spodziewać, aby go do szkół posyłał, cichaczem uciekł z domu i poszedł w świat szukać sposobów kształcenia się dalej. Tak więc o głodzie i trudach zaszedł do Krakowa i tam udał się do pewnego księdza, a opowiedziawszy mu swój stan i swcje chęci, prosił ze łzami o służbę, choćby do posług najniższych, byle mógł do szkół uczęszczać. Ów ksiądz chociaż sam ubogi, ulitował się i przyjął go do siebie, ale pod tym warunkiem, iż tylko obiad u niego za służbę może dostawać. Chłopczyna przystał chętnie na to i zostawszy, chodził pilnie do szkoły. Nieszczęście jednak chciało, iż ksiądz ten wkrótce umarł. Sobuś nie mogąc znaleźć dla siebie innego dobrodzieja, poszedł gdzieś na wieś do gospodarstwa i po niejakiej praktyce wyszedł na ekonoma, ożenił się, lecz nigdy do domu znać nie dał o sobie.

Odziedziczywszy po żonie jakiś mająteczek i trochę z własnej pracy dorobiwszy, wziął później wioskę w dzierzawę, i znów gdy mu żona umarła, ożenił się z drugą, bardzo poczciwą kobietą. Ale przez nieszczęścia różne w niejakim czasie postradał cały majątek; musiał odejść z possesji i szukać służby na nowo.

Szczęście na ziemi jak się raz od kogo odwróci, nie łatwo da się przeprosić, rzadko też komu uda się w wieku sędziwszym stracone szczęście pozyskać na powrót. Jak różni więc ludzie żyją na ziemi, tak każdy różnych sposobów się chwyta, byle pozyskał to czego pragnie. Jedni podwoją pracę, zmniejszą wydatki; znosząc wszystko cierpliwie, proszą tylko Boga gorąco, aby zamiary ich pobłogosławił; drudzy po lada jakiem nieszczęściu opuszczą ręce i są ciążarem innych, myśląc że chleb żebraczy najlepszy jeszcze dla nich. Inni zaś, a ci najgorsi, szukają sposobów, jakiby cudzą własnością i pracą polepszyć sobie fortuny; brną jak to mówią, po uszy w grzechach, innym będąc nieszczęściem a dla swej duszy zgubą. Najprędszym zaś pomysłem do wydarcia cudzej własności jest

teraz proces. Jest to jak rdza, która i najmocniejsze żelazo zeżre. Każdy to przyzna, kto zakosztował tej powolnej na mienie i życie trucizny, a której obydwie walczące strony ulegają. Cóż to za straszne te sądy ludzkie; a jakaż trudna sprawiedliwość! Zanim sędziowie odgadną, której stronie słuzność przysądzić należy, ileż papieru spisać, ile stępli nakupić, ile nastawać i nachodzić się trzeba na te nieszczęsne termina, ile przekleństw z obu stron padnie, a ile życia tym wszystkim się skróci co proces prowadzą! A cóż mówić o stracie na samych pisarzy, i któż to obliczy.

Ciekawi więc jestecie kochani czytelnicy, jakiej też drogi chwycił się nasz Sobuś, aby odzyskać stracony majątek?

Trwało to już lat trzydzieści jak był zniknął z domu rodziców. Oni lamentując z razu, póżniej, gdy nic o nim słychać nie było, tak sobie mówili:

— Musiał gdzie w świecie zginąć, bo cóżby było przyczyną, żeby się dotąd nie wrócił, lub chociaż znać nie dał o sobie? Trzeba ożenić naszego chłopczynę, co w pracy nam pomaga i grunt mu oddać, który z łaski Boga i pana posiadamy, niech on znów na siebie pracuje a starość nasza niech będzie spokojną. Pomódlmy się za duszę Sobusia.

Tu ojcu i matce łzy z oczów policzki zrosiły, a usta cichą modlitwę szeptały. Jak rzekli tak i zrobili; wkrótce też potem anioł śmierci powiódł ich przed tron Najwyższego, by zdali rachunek z życia i czynności na ziemi, a syn ich pracując uczciwie na ojcowiźnie, nieraz powtarzał do żony:

— Oj! niemasz c inigdzie, jak w ojców swych domu, bo cóż to za rozkosz pracować na tej roli, na której pradziadowie nasi pracowali. Te zagony, to jakby karty spisane o życiu, szczęściu i niedoli ojców naszych, a te dęby, lipy i grusze, to jak świadkowie ich życia i czasów minionych. Ha! Bóg to raczy wiedzieć, co się z nami stanie; ale tej roli, tego kraju nie opuściłbym za żadne skarby świata, a nawet gdybym po śmierci za grzechy pokutę odprawił, prosiłbym Boga, by nad tym krajem, nad domem ojców duch mój się choć czasem unosił.

Tak żyjącego poczciwie podobało się Bogu powołać do siebie. Została więc jego żona z kilkorgiem dzieci na gruncie.

Otóż nasz Sobuś niewiedząc przez lat kilkadziesiąt co się w rodzinnem miejscu jego dzieje, gdy przyszedł na biedę, nie szukał innego środka wydobycia się z takowej, tylko powiedział do siebie:

— Nic nie zrobię, tylko pójdę do Niegłowic, gdzie ojciec mój pewno nie żyje i jako najstarszy syn, według przysługującego mi prawa, odbiorę grunt, choćby przez proces, brata spłacę pomału i będę się miał dobrze.

Pewnego dnia o śródwieczerz wyszła przed dom wdowa po bracie Sobka w Niegłowicach, by przypatrzeć się jak słonko daleko od zachodu, czyli już czas wieczerzę drużynie zastawiać. Po drodze zaglądała w ogródek, który ozdabiał ubogi jej domek. Dzieci na drodze wiejskiej, po pod dom idącej, bawiły się ścigając jedno drugie, w czem im i piesek, stróż domu i dobytku pomagał. Nagle bryś zaszczekał i wszystkich oczy obróciły się ku stronie gdzie szedł podróżny w surducie szaraczkowym z torbą skórzaną u boku, już dobrze podstarzały. Dzieci czy wiedzione przeczuciem czyli też z bojaźni, uciekły prędko do matki, chwytając się jej szat, a biedna wdowa karcąc ich bojaźliwość, sama przecież zatrzymuje się i zalękniona przeczuwa dla siebie coś złego, bo lica jej zapłomienione a oczy niespokojnie zwrócone na idącego w prost do niej podróżnego. Tę cichość przerwał podróżny, wyrzekłszy słowa pozdrowienia:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, odpowiedziała wdowa, z kądże Pan Bóg prowadzi?

— Ja kobieto kochana z daleka dosyć przybywam, ale przychodzę do mojej rodzinnej wioski, w której kilkadziesiąt lat nie byłem. Tu w tym domu, rzekł wskazując na domek wdowy, urodziłem się i wychowałem, później odszedłem ojców a dziś złamany latmi i różnemi trudami przyszedłem i kogoż zastaję? oto jak mi w karczmie mówiono, tylko was kochana bratowo, bo pewno wy jesteście gospodynią tego domu.

— Witajcież! witajcie! chodźcie do chatki biednej wdowy, spocznijcie i opowiedźcie o życiu waszem! Dzieci witajcież stryjka!

Tak weszli do wnętrza chatki, gość naprzód a gospodyni z dziećmi za nim.

Chatka ta składała się z dwóch izb nie wielkich, których ściany pobielone, ozdobione były obrazami Chrystusa na krzyżu i Matki Jego Najświętszej, kilku świętych Pańskich na przeciw powieszane w ramach za szkłem. Niebyłyto takie bohomazy czerwoną farbą wyciskane, jakto zwykle na wsiach przylepiają, co nawet do niczego nie podobne, pobudzają do śmiechu, ale pięknie farbami namalowane osoby. Za obrazem była palma i świeca woskowa, związane wstążeczką z wetkniętym robionym kwiatkiem. Na środku tragarza wisiał świat z opłatków a przy progu gliniana kropielniczka z wodą święconą. Pod oknem stał stół biały porządnie umyty a pod ścianą w kącie łóżko porządnie słomą wysłane i prześcieradłem pokryte, na którem pierzyna zwinięta i wyrównana z poduszką leżały. Dalej ławki poustawiane, szafka z miskami powieszona i innych wiele rzeczy, o czem nareszcie tyle powiem, że było poukładane, czyste, z prochu obtarte; okna umyte, pająki omiecione, co dobre świadectwo gospodyni domu dawało, że lubi porządek.

Tu się więc przywitali dosyć serdecznie i dzieci tożsamo ucałowały rękę stryjkowi, uciekając do drugiej izby i z tamtąd z za drzwi spoglądając. Podróżny rozgościł się, otarł pot z czoła, a gospodyni roznieciła ogień, aby zgotować wieczerzę, tymczasem zaś położyła chleb powszedni, duży, piękny i smaczny, masło na miseczce czyste i mleko w polewanym nieokopconym garnuszku. Nakoniec uwolniwszy się trochę, usiadła obok Sebastjana i jęła wypytywać go, jak to mówią co z większa, o jego przygody, żonę, dzieci i t. p., po wieczerzy zaś słuchała do póżnej nocy opowiadań gościa swego i dowiedziała się całego życia tegoż. Również i on słuchał opowiadań bratowy. Tak razem płakali i wzdychali, aż nareszcie znużeni pokładli się każde na przeznaczonem miejscu,

gość na łóżku a wdowa na usłanej pościeli. Podróżny wkrótce zasnął, a biednej kobiecie, gdy skutkiem tych zajść szczególnych sen oczów nie kleił, a różne przeczucia miotały jej myślami, długo przed obrazem Chrystusa klęczała i tam dla siebie spokoju i wesela szukała; nareszcie i ona zasnęła.

Na drugi dzień gdy gospodyni od dwóch godzin krzątała się około gospodarstwa a dzieci wstawać poczęły, i nasz Sebastjan się zebrał, co nieco jeszcze do swej historji dodał, w końcu oświadczył bratowej, iż po to tylko przyszedł, aby się mógł sprowadzić do Niegłowic na swą ojcowiznę, gdyż w takim jest stanie, że się nie ma gdzie podzieć. Po niejakim namyśle nasza wdowa oświadczyła Sobkowi, że jeżli już naprawdę nie ma się gdzie podzieć, to niech się do niej sprowadzi, dodawszy:

— Czem chata bogata tem będzie rada; ja kobieta i tak sama rady sobie dać nie mogę, to jakoś się porozumiemy, abyście i wy panie bracie nie byli z krzywdą i ja dziecięętom przyszłość zapewniła.

Wnet jakoś potem Sebastjan pożegnał bratowę serdecznie, dosyć zadowolniony i strawą podróżną obdarzony. W kilka dni przyjechał z żoną, dziećmi i rzeczami do Niegłowic i złożył to wszystko w domku biednej wdowy.

Wdowa serdecznie wszystkich przyjęła, wyprzątła swoje a poustawiała ich rzeczy, ugościła i wycałowała dzieci przybyłe i byli wszyscy zadowoleni. Minął tydzień na rozpoznaniu się wzajemnem i na odwiedzinach sąsiadów, którzy się schodzili z zadziwieniem na wieść o przybyciu Sobka; słuchali jego opowiadań, czasem mu też przynieśli czy kurę, czy masła czy mleka, czy owoców jakich nareszcie i było dobrze. Ale Sobek myślał wciąż tylko o gruncie, nie długo też potem, gdy raz wszyscy razem siedzieli i rozmawiali o gospodarstwie, Sebastjan tak się odzywa:

— Moja bratowo! wiecie że grunt ten, co wy trzymacie, jest po moim ojcu i mnie się jako najstarszemu synowi należy. Czy wy też myślicie oddać mi go, a sama iść na wymowę? dzieciom dałbym spłat.

— Bracie kochany i wy też kochana pani bratowo, odpowiedziała wdowa, prawdać to iż wy jesteście najstarszym synem, i po ojcu wam się grunt podług prawa należy, ale sumienie inneby prawo nadało, bo wyście od dziecka ojcom nic w pracy nie pomagali, poszliście w świat szukać lepszego chleba, a mój nieboszczyk pracował z ojcem ciężko, dawniej dla pana i dla siebie, a potem na swojem gospodarstwie; same gorzkie czasy przechodził, bo były przednowki jak wiecie ciężkie, kiedy to Bóg rozgniewał się na naród, że się dał uwieść podłym podszeptom i powstał na własnych braci, dopuszczając się różnych bezprawi. Wtedyto głód, choroby tak wszystkich dotknęły, iż ledwo było można ostać się przy tej roli, także zagniewanej na nas, boć przecie pamiętacie, że wtedy ziemniaki psuć się zaczęły. Otóż więc później znowu ja przeróżne ciężary znosić i budynki poprawiać musiałam, tak, że i ze mną nieraz ciężka dola się spotkała. Więc ja sobie tak w mej słabej głowie układam, żebyście mnie z dziećmi bardzo skrzywdzili, odbierając mi grunt cały, ale tak po dobroci to wam na jesień oddam połowę na wieczne czasy, a połowę radabym trzymać, i kiedyś po mojej śmierci, albo jakbym pracować nie mogła, niech by znów dzieci pamiątkę po ojcach miały.

Gdy najpierw żona Sebastjana, kobieta bardzo uczciwa na taką zgodę przystała, przystał też i Sebastjan; a gdy się o budynki i resztę sprzętów umówiono, była zgoda taka, jak lepsza być nie mogła. W jesieni Sebastjan połowę gruntu odebrał, przy pomocy bratowej i sąsiadów zarobił i zasiał, domek cały po ojcu zamieszkał; wdowa zaś dla siebie inny wystawiła i zamieszkała: sam Bóg się z tego radował.

Cóż się nie dzieje? Szatan wojując na ziemi, najczęściej na ludzi znów ludzi używa. Znaleźli się więc tacy, którzy poczęli się naśmiewać z Sebastjana, iż głupi że taką ugodę z bratową zawarł, że jemu się cały grunt po ojcu należy, że on z piętnastu morgów nie wyżyje, słowem: że nie wiele straci a przez proces odbierze cały grunt, bratowej zaś da jaką wymowę, a dzieci po bracie spłaci. Że więc Sebastjan nie był

dobrze wyuczonym w szkołach, bo tylko co nieco połapał nauki, przytem gdy mu się zachciewało być jeszcze panem, dał się wkrótce namówić do tego haniebnego procesu. Poszedł więc do Jasła i na nieszczęcie spotkał się z jednym trochę znajomym, który się trudnił pokątną adwokaturą, to jest pisaniem suplik.

— Jak się macie obywatelu? przywitał pisarz Sobka.

— Ot tak tam, jak biedny zagrodnik, to też i kiepski obywatel.

— Duży to grunt trzymacie, i czyście to kupili?

— I nie kupiłem, tylko to po ojcu nie dawno odziedziczyłem, a że bratowej dałem połowę, to mam tylko pietnaście morgów.

— Zkądże bratowa przychodzi do połowy?

— A tak, my się dobrowolnie ugodzili.

— A któż widział taką ugodę zawierać? za to można grunt stracić i karę zapłacić, bo chłopskich gruntów dzielić nie wolno.

— Kiedy bratowa nie chce mi oddać całego.

— Co to nie chce, a od czegoż są cesarscy sędziowie? wyrzucą, a dzieciom spłat i kwita.

— Ba, kiedy proces dużo kosztuje.

— No cóż, trochę kosztuje, mnie trzebaby dać teraz pięć złr., po ukończeniu procesu pietnaście zlr., czasem się co napijemy a wygra się pietnaście morgów w wartości tysiąc złr., interes czysty, sumieniem zaręczam czysty! bo jak są pieniądze to i cnota; zresztą należy się i basta.

Załaskotały te słowa Sebastjana, zaprosili się więc na krople, co to mają być dobre na frasunek, i gdy mu wiele i różnych rzeczy ten pisarz nagadał, zgodzono się na wniesienie prośby o spis pośmiertny po ojcu, stęple kupiono i już tego samego dnia pozew do sądu wniesiono.

Sebastjan przyszedłszy podchmielony do domu, powiedział żonie co zrobił, ta zaś na wszystko go prosiła, aby odwołał wniesioną prośbę i biednej bratowy nie procesował, lecz nic

nie pomogło. W kilka tygodni woźny termina doręczył i kilka dutków biednej wdowie na wstępie wydarł bez potrzeby.

Nastały potem termina, pertraktacje i tak dalej. Biedna wdowa musiała szukać adwokata do bronienia swej sprawy, nastała nienawiść między rodzicami, żona Sebastjana tylko tajemnie widywała się z wdową, którą bardzo szanowała i kochała, ale zgadnijcie co jeszcze nastało? Oto zwaliły się nieszczęścia na dom Sebastjana! nie rodziło się w polu, bydło się marnowało, nastała bieda, która go nawet na służbę wygnała. Żona jego sama gospodarowała i mieszkała z dziećmi, proces szedł nie bardzo pomyślnie dla Sebastjana, żona go wciąż prosiła, aby dał pokój wszystkiemu, lecz on wlazł w sidła czartowskie i marzył wciąż o wygranej, trudno mu więc było wywikłać się z tego. Potem się wrócił na powrót ze służby na rolę, lecz nieszczęścia jak szły tak idą, coraz to większe; proces dużo kosztuje, a co najgorsza, dzieci, jedyna pociecha rodziców i już odchowane, umierają jedne po drugich, a na ostatku proces przegrany.

Wiadomość ta zastała naszego Sebastjana już w takim stanie, że był prawie nędzarzem, bo zadłużony, sam gospodarz sam czeladnik, bez inwentarza i o głodzie. To też częścią ze zmartwienia, a częścią z pracy tak cierpiał na zdrowiu, iż wkrótce potem zakończył życie, żałując swego błędu i narzekając na ludzi, których rady stały się dla niego tylu nieszczęść powodem.

Po jego śmierci, obie wdowy choć bardzo biedne, bo i ta druga zniszczyła się zupełnie na koszta procesu, nie poginęły z głodu. Bóg się nad niemi zlitował i dawał im przez lat kilka takie urodzaje, że z czasem wygrzebały się z biedy. Odtąd żyją sobie spokojnie, zgodnie, kochają się i wspierają wzajemnie, a ich dziatki chowają się pięknie i dorastają na pociechę swych matek.

Edmund J. nauczyciel z Błaszkowy.

Kmieć Cholewa,

co króla obronił i został za to szlachcicem.

Zdarzyło się raz przed laty, a dawno to już temu, bardzo dawno, że srogi nieprzyjaciel wpadł niespodziewanie do Polski. narobił straszaie wiele szkody, złupił kilka zamków i kilkadziesiąt wsi, zrabował i popalił kościoły, nabrał ludzi co niemiara do niewoli i dalej w nogi. Panował wówczas w Polsce król Bolesław, ten sam, którego zwali jedni śmiałym, a drudzy szczodrym, ten sam co potem zabił św. Stanisława. Był to jeden z największych królów polskich, rozjemca zwad pomiędzy sąsiedniemi książętami i królmi, zwycięzca w wielu bitwach, a taki hojny, taki szczodry dla swoich, że nie widział w bogactwach innej rozkoszy oprócz tej jednej, że je mógł między biednych szafować.

Owóż jak tylko król Bolesław usłyszał, że nieprzyjaciel wpadł do Polski i tak ją zuchwale łupi, przywdział czemprędzej zbroję, miecz potężny przypasał do boku, dosiadł konia dzielnego, ognistego i na czele mnogiego rycerstwa puścił się w pogoń. I ścigał uciekających wrogów trzy dni i trzy nocy, a dogonić ich nie mógł, bo jak tylko usłyszeli, że król Bolesław idzie na nich z wojskiem, podwoili kroku, aby się z nim nie zetknąć, i ani spali, ani odpoczywali, jeno pędzili co żywo do swoich granic.

Król Bolesław gdzie przyszedł, widział ślady zniszczenia, spotykał ludzi biednych, co mu drogę zachodzili ze łzami, i opowiadali okrucieństwa i rabunki, mordy i pożogi, których byli świadkami, albo których sami doznali. Ale nieprzyjaciela nie ma i nie ma. Był tu wczoraj, widzieli go ludzie, ale gnał prędko, ciągle w prawo a prawo, spieszy tam Bolesław, pyta o nieprzyjaciół: byli, ale w lewo pognali. Czwartego dnia król Bolesław zajechał z rycerstwem w straszną puszczę, lasem odwiecznym zarosłą, a tu ślady kopyt końskich, przez nieprzyjaciela znaczone, rozchodziły się na tyle dróg i ścieżek, że trudno było zgadnąć, którą właściwie uciekali, a tu jak na nieszczęście nikt owej puszczy nie znał, ani król, ani żaden z jego rycerstwa.

Król Bolesław stanął i zadumał się. Słucha i patrzy czy gdzie nie ujrzy kogo, coby mu drogę wskazał, ale nigdzie nie widać, nie słychać nikogo, tylko las szumi a na gałęziach ptactwo wyśpiewuje. Król się zafrasował bardzo.

Aż nagle w oddaleniu kędyś między drzewami, usłyszał Bolesław jakby stuk siekiery. Popędził co tchu w tę stronę z której głos wychodził, rycerstwo za nim, i wnet ujrzeli chłopka, co sobie spokojnie rąbał drzewo na chatę.

Chłopek ów, jak obaczył rycerza w złocistej zbroi a obok niego mnogo panów i rycerstwa, olśniony tym blaskiem zawstydził się bardzo, rad się był gdzie schować, ale już nie starczyło czasu, bo król stał tuż przed nim, patrzył na niego oko w oko i zaraz zagadał miłościwie:

— Daj ci Boże szczęście miły człecze!

Chłopek skłonił się do nóg królowi.

— Niewidziałeś tu nieprzyjacielskiego wojska, jak uciekało tędy z jeńcami i łupami?

— Widziałem, miłościwy królu, pędzili tędy wczoraj wieczorem a już byli mocno pomęczeni i konie im ustawały, pewnie nie daleko zaszli do teraz.

— Ale gdzie się obrócili? gdzieby ich tu zajść można? zapytał król znowu.

— Jest tu miłościwy królu w lesie źródło, odpowie chłopek, tam się pewnie rozłożyli i obozują.

— A ty wiesz drogę do tego źródła? potrafisz nas tam zaprowadzić?

— Czemu by nie? tum się urodził i wychował, a nie znałbym drogi? I po omacku trafię wszędzie.

— Więc nas prowadź, zawoła król Bolesław.

— Dobrze miłościwy panie, ja gotów.

— A jak się zowiesz?

— Cholewa, odpowie kmieć.

— Słuchajże mój Cholewo, rzecze król łaskawie, jak nas będziesz dobrze prowadził, nagrodzę cię po królewsku; a jak zdradzisz, zginiesz na pierwszym lepszym buku.

Cholewa ruszył naprzód co żywo, król za nim a dalej wszystko rycerstwo postępowało. Król ciągle rozmawiał z chłopkiem wypytując go o siły nieprzyjacielskie, jacy to ludzie, jaką broń mieli, jakie konie, co za jeńców prowadzili, a Cholewa na wszystko przytomnie i bardzo rozumnie odpowiadał. Nagle chłopek zatrzymał się, przyłożył ucho do ziemi i słuchał. Niebawem podniósł się, poskoczył do króla, szepnął mu coś cicho, a król zaraz dobył miecza. Rycerstwo zrozumiało ten znak i w tejże chwili wszyscy to samo zrobili i uszykowali się. Król wyciągnął szeregi jak można było najlepiej, potem je zawiódł w półkole i posuwać się kazał, jak mu chłopek poradził. Wnet ujrzeli przed sobą obóz nieprzyjacielski i z wielką wrzawą wpadli na wroga nieprzygotowanego, rąbiąc i siekąc na wszystkie strony.

Nieprzyjaciel potykał się zacięcie, ale Polacy choć zmęczeni pogonią byli silniejsi i wzięli nad nim górę. Wtem sam wódz nieprzyjacielski przedziera się i pędzi z boku na Bolesława z gołym mieczem, a był to chłop setny i siedział na ogromnym koniu.

Zobaczył to Cholewa jeszcze prędzej jak król, rzucił się więc ku niemu aby go uprzedzić, aliści wstrzymał się, bo jakże uderzyć z gołemi rękami; dopiero teraz pożałował, że siekiery w pospiechu zapomniał. Ale trzymał w ręku dwie klamry żelazne do spinania drzewa, więc z temi tylko klamrami rzucił się na owego wodza nieprzyjacielskiego, i jedną klamrą podciął nogę koniowi, koń się potknął i zrzucił pana, wtedy Cholewa jak przyskoczy do niego z drugą klamrą, jak mu da w łeb, tak go zranił śmiertelnie, a potem nie wiele myśląc wyrwał mu miecz z ręki i odciął głowę wodzowi nieprzyjacielskiemu, co wszystko król Bolesław widział dobrze i dziwił się bardzo.

Nieprzyjaciele jak tylko zobaczyli że ich wódz nie żyje, co tchu uciekać zaczęli, zostawiwszy na placu dużo trupów i wszystko co Polsce zrabowali i jeńców. Król po bitwie dotrzymał Cholewie obietnicy, a najprzód zrobił go szlachcicem czyli panem herbowym, i nadał mu za herb owe dwie klamry, któremi go obronił, a potem darował mu ową puszczę, i dopomógł że tam założył kilka wsi, zemek sobie wystawił i w nim mieszkał, a w długie lata potem, z owego zamku wychodzili na obronę ojczyzny dzielni rycerze, potomkowie prostego chłopka, co roztropnością swoją dopomógł rycerstwu do zwycięztwa, a w braku innej broni, lichą klamrą króla swego ocalił.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.